



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
DLA DZIECI.

Pr numerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinniey. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2½, *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27½, w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki. We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 złr. 20 cent. *Kwart.* 1 złr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 złr. 80 cent. *Kwart.* 2 złr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 złr. 60 cent. *Kwart.* 1 złr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 złr. *Kwar.* 2 złr. Biuro Redakcyi: Ulica Ś-to Krzyzka Nr. 14.

Treść.—Pogadanki o sztukach pięknych, (z drzeworytem), przez M. J. Z., (dalszy ciąg).—Gawędy podsłuchane u wiślanej fali, przez M—a.—Pies goniący za cieniem, bajka, (z drzeworytem).—Moja pieszczotka, (powieść historyczna) przez Teresę-Jadwigę.—Przygody nieustraszonych podróżników w puszczech Afrykańskich, (dalszy ciąg).—Łamigłówni.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.—Ogłoszenie.



Panteon rzymski.

POGADANKI O SZTUKACH PIĘKNYCH.

VII.

Architektura u Rzymian.

(Dalszy ciąg).

Widzieliśmy już, że najważniejszą cechą stylu rzymskiego były sklepienia i arkady czyli luki, one też wytworzyły nowy kształt dachu, w podobny sposób zaokrąglony, to jest kopułę. Wspaniała budowa, przedstawiona na naszej rycinie, ma właśnie dach tego rodzaju. Jestto Panteon rzymski; nazywa ta oznacza świątynią poświęconą wszystkim bóstwom; zbudował ją w r. 27 przed Chr. Agryppa, zięć cesarza Augusta, wielki wódz i dostojnik, na pamiątkę zwycięstwa pod Akcyum. W gmachu tym urządzone były liczne nisze, gdzie stały posągi różnych bożków i bogiń, w wspólnym przybytku łączone. Dla tegoto dziś przez przenosią często nazywają Panteonem miejsca, gdzie są zgromadzone, czy to wizerunki, czy też jakiegokolwiek pamiątki znakomitych ludzi. Rzuciwszy okiem na rycinę, odróżni-ie odrazu dwa odmienne rodzaje architektury; całość budowli tak wygląda, jakgdyby była złożona z dwóch części oddzielnych. Prząd świątyni, przedsionek, przypomina zupełnie styl grecki, widzimy tu tylko linie proste, gdyż sklepienia łukowate ukryte są starannie pod architravem. Takie urządzenie spotyka się często w świątyniach rzymskich. Gmach główny uwieniczony jest kopułą, która ma po samym środku wielki otwór okrągły, stanowiący okno. Dwa rzędy kolumn, po ośm w każdym rzędzie, podpięra przedsionek. Każda z nich wyciosana z jednej bryły pięknego wschodniego granitu, podstawy i kapitele z białego marmuru. Wysokość tych kolumn, bez podstaw i kapitelów, dochodzi trzynastu metrów. Rzymianie, jak już wspominaliśmy, lubili kolosalne rozmiary. Wnętrze świątyni ma przeszło czterdzieści metrów średnicy i tyleż wysokości, przyozdobione jest dokoła kolumnami korynckiego porządku z najpiękniejszego marmuru. Były tam oprócz tego wspaniałe karyatydy

z brązu, a płaskorzeźby brązowe pokrywały także i fronton zewnętrzny i drzwi wchodowe, ale dziś nie pozostało już nic z tych ozdób, ogołocono z nich Panteon od dawna. W XVII wieku świątynia ta zamieniona była na kościół chrześcijański, później jednak znowu opustoszała. W podziemiach Panteonu spoczywają zwłoki kilku mistrzów sztuki, a między innymi wielkiego malarza włoskiego, Rafaela.

Pomniki grobowe u Rzymian odznaczały się wielką okazałością. Stawiano je zwykle przy drogach publicznych, a nawet przy ulicach miejskich. Najstarożytniejszy i najslawniejszy gościniec rzymski, wiodący od bram stolicy do Kapui, założony przez cenzora Appiusza w IV wieku przed Chr. i zwany drogą Appiusza (via Appia) ciągnie się pomiędzy dwoma szeregami grobowców, z których do dziś pozostało mnóstwo szczątków. Jeden z najokazalszych w bliskości Rzymu poświęcony był pamięci Cecylii Metelli, matrony rzymskiej. Budynek ten, w kształcie wielkiej okrągłej baszty, ma trzydzieści metrów średnicy, a grubość muru dziesięć metrów, tak, że pośrodku pozostaje tylko mała przestrzeń próżna, gdzie złożona była urna, zawierająca popioły zmarłej. Budowla ta miała niegdyś u góry piękny fryz marmurowy i mnóstwo rzeźb i ozdób bogatych. W wiekach średnich zamieniono ją na obronną basztę i dodano do niej u góry ceglane przedłużenie; wszystko to dziś jest poszczerbione, obrośnięte mchem i splotami roślin.

Rzymianie grobowcom swoim nadawali rozmaite kształty, piramid, słupów wyniosłych, lub okrągłych gmachów, zakończonych u góry kopułą. Ten ostatni kształt miał grobowiec cesarza Adryana, później zamieniony na zamek obronny pod nazwą Ś-go Anioła. Jest to budowa prawdziwie olbrzymia, wznosi się na potężnej podstawie kwadratowej, dochodzi 95 metrów wysokości. Gmach ten, niegdyś całkowicie białym marmurem pokryty, wspaniale musiał wyglądać. Pomnik cesarza Augusta zbudowany był w tymże samym rodzaju, ale ten w średnich wiekach do szczętu prawie został zniszczony.

Przepyszna kolumna marmurowa, poświę-

cona pamięci cesarza Trajana, przez kilka wieków zagrzebana pod ziemią, wybornie się tam przechowała. Odkopano ją na początku naszego stulecia i ustawiono w całej okazałości na jednym z placów Rzymu. Znalezione także pod spodem urnę z popiołami Trajana. Wzdłuż całej kolumny, od góry do dołu, ułożone są w ślimak prześlizne rzeźby, wyobrażające wojenne czyny cesarza Trajana. Naliczono w nich 2500 samych ludzkich postaci, i niezmiernie mnóstwo koni, przyborów wojennych, słoni uzbrojonych; na szczycie kolumny, ponad pięknym kapitelem doryckim, wznosił się niegdyś posąg Trajana; dziś ustawiono na jego miejscu posąg Ś-go Piotra. Wnętrze kolumny jest wydrążone i wschody prowadzą aż na sam jej wierzchołek. Pomnik ten zbudował sławny architekt, Apollodor z Damaszku, użył na niego trzydzieści cztery wielkie bryły marmuru.

Druga kolumna podobna, z posągiem Marka Aureliusza, nie była już grobowcem tego monarchy; wzniesiono ją na cześć jego po jakimś wielkim zwycięstwie. Dziś umieszczony jest na niej posąg Ś-go Pawła. Zwano tę kolumnę antonińską, gdyż stała na forum, czyli na rynku Antonina.

(d. n.)

GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANEJ FALI.

przez M—a.

Z chyłej Wisły wartkim biegiem,
Od jej źródeł aż do mórz,
Srebrno-złoty łanów biegiem,
Pośród borów, ludzi, wzgórz:

Sunę oicho po nad tonie—
Szumi wiatr w pogański żal,
Patrzę w niebo, składam dłonie,
Podsłuchuję plusku fal...

I.

Roku 376, *Ermanryk*, król Gotów, odniósł zwycięstwo nad częścią Słowian. Z okoli-

czności tego zwycięstwa jest w dziejach najpierwsza wzmianka o Słowianach. W owych czasach, w czwartym wieku ery chrześcijańskiej, kraje rozciągające się na południe *Karpat* zwane były *Dacyą*. Na północ zaś Karpat i od źródeł Wisły, przez niezmierną rozległość, osiadł liczny bardzo naród Słowian, dzielący się na rozmaite i rozmaicie zwane pokolenia. Niektóre z nich były bardzo wojownicze, i *Jornandes*, zakonnik kronikarz, żyjący w VI wieku, pisał, że wicherzyli oni wszędzie w państwach rzymskich za jego czasów. Ale za czasów *Ermanryka*, króla Gotów, Słowianie rzadko kiedy i tylko u niektórych pokoleń, posiadali broń taką, którą walczyć mogli z innymi narodami. To też część ich gorzej uzbrojoną przemógł ów król potężny. Niektóre zaś gromady Słowian prowadziły życie pasterskie, spokojne, a broń swoją używały jedynie dla obrony od napaści obcych narodów, ale wcale nie do gnębienia ich, lub wicherzenia w postronnych państwach. Otóż w czasie owego *Ermanrykowego* podboju powstał z powodu tego wielki ruch pomiędzy plemionami Słowiańskimi. Był to ruch podobny do tego, jaki wydarza się w kościele, na pozór pełnym ludzi, gdzie nagle, przemocą, wciska się jeszcze spora ludźmi gromadka: ludzie nie dosyć silni, aby oprzeć się nadchodzącym, cofają się i wciskają w różne zakątki, do których cisnąć się nie myśleli, dopóki nie byli zmuszeni. A ci cofający się mimowoli naciiskają innych, po za sobą stojących, którzy też wtedy muszą się cofać i szukać pomieszczenia nowego dla siebie. Tak właśnie, czy to naciśnięte przez samego *Ermanryka*, czy też popchnięte przez pobratymców, cofało się w owe czasy, szukając schronienia, jedno pokolenie słowiańskie, wyparte z dotychczasowej siedziby nad rzeczką *Słenzą* (*Lohe*), od której kraj okoliczny już wówczas zwano *Słazkiem*, lub *Szlazkiem*, a mieszkańców jego, *Szlazakami*. *Szlazacy* ci cofali się z wolna, z żalem ustępując każdej piędzi ziemi ku południo-wschodowi, gdzie obszary zarosłe gęstymi borami i pasmo gór obiecywały im zastosowane do ich potrzeb schronienie. Potrzebowali zaś oni przede wszystkim spokojności, i pastwisk dla li-

cznych trzód, które wiedli z sobą, gdyż zajmowali się przeważnie pasterstwem. Trzody owiec i bydelka szły naprzód, prowadzone przez starego pasterza, o wielkiej siwej brodzie, z gęslami w rękach. Po bokach i w tyle, poza długim pasmem trzód szli inni pasterze i psy pomiędzy nimi biegały, pilnując porządku. Każdy pasterz odziany częścią w skórzane, a częścią w lniane odzienie, miał małą tarczę na ramię zarzuconą i dzidę w ręce, a w drugiej giętką długą gałąź, ogołoczoną z liści, którą poganiał i w porządku utrzymywał bydełko. Mimo to, trzody przywykłe do swobody a nęczone paszą po drodze, przystawały, usiłując wymykać się z pod straży na małe zielone polanki, lub w gęste lasy, przez które przechodzono i trudnoby je było przeprowadzić w całości przez kraj lesisty, gdyby nie ów siwy pasterz-gęślarz, idący przodem. On jeden nie miał nic w rękach, prócz swych gęśli i nie wołał na trzody głośniami nawoływania, jak inni pasterze, ale od czasu do czasu grał, a na odgłos jego gęśli, dobrze widać znany, a rozniesionym echem leśnym, wędrownie trzody pośpieszały zwawiej, zbiegając się w gromadę i odpowiadając gęślom krótkimi porykami lub beczaniem. Za bydełkiem sunął się długi szereg małych wozów, ponad którymi na giętkich gałęziach rozpięte skóry tworzyły nad każdym rodzaj budki, nakrytej od niepogody, a z tych budek wyglądały ciemnowłose główki małych dzieciaków, czasem też wyglądał z nich starzec zgrzybiały, lub niewiasta chora czy wiekowa. Koło wózków tych, poganiając ciągnące je woły, szły niewiasty otoczone dziećmi, a dopiero za nimi, koło nich i koło trzód, i u przodu całej tej gromady ludu i jego mienia, jeszcze przed gęślarzem nawet, jechali i śmigali na konikach niedużych, licznym poczem, silni mężowie, uzbrojeni pikami, tarczami i toporkami z kamienia, a niekiedy choć rzadko nawet i z żelaza. Wszyscy mieli cerę twarzy ogorzalą, ale nieżółtą, a włosy ani czarne ani jasne, lecz ciemne. W takim porządku szedł wędrujący naród przez kraj lesisty, gdy wyszedłszy na otwarte miejsce, co rzadko się tam zdarzało, usłyszał przeciągłe tony gęśli przewodniczącej, odzywające się raz po raz,

w sposób odmienny niż dotąd i stanął: w taki sposób odzywające się gęśle dawały hasło spoczynku. Aby uniknąć zamieszania, wszystko stanęło tak, jak szło; tylko zwierzętom pozwolono paść się na bujnej w tém miejscu trawie, pilnując od rozbieżenia; niewiasty zaraz znalazły coś do opatrywania koło dzieci, wozów i zaprzęgu, a najstarsi z mężów, nawet ci, którzy w wozach jechali, wyszli z nich z pomocą młodszych i udali się wszyscy za głosem ciągle odzywającej się gęśli. Idąc, każdy zbierał po drodze suche palne gałęzie, aż doszli do wzgórza, na którym stojąc, gęślarz grał. Każdy złożył przyniesione gałęzie na wierzchołku wzgórza, gdzie takim sposobem wprędce utworzył się wielki stos. Wtedy wszyscy starcy otoczyli stos, a kilkunastu z nich wystąpiło na przedzie z gęslami w rękach. Najstarszy ów przodujący gęślarz stanął przed stosem, a kilku silnych mężów przyprowadziło doń pięknego opierającego się im wołu. Najstarszy gęślarz czyli *guślarz*, bo te dwa wyrazy równoznaczne były, wybrał dwa kawały drzewa suchego z kilku, które mu podano, i ociosał jestosownie swym toporkiem, a dwaj inni gęślarze, chwyciwszy te drewna, poczęli trzeci jedno o drugie z niezmierną szybkością przy przeciągłym wszystkich gęśli śpiewie. Lud cały z daleka, nie opuszczając miejsc swoich, przy wozach i zwierzętach, wtórował tej jakiejś pieśni, poddanęj przez gęśle, smutnej, jak pożegnanie: lasy odpowiedziały echem jęków na jęk ten pieśniany, odzywający się na ostatniej granicy kraju koło Ślenzy, który opuszczano. Tymczasem dwa owe drewna, tarte o siebie rękoma gęślarzy, zadymiły się i zapłonęły płomieniem: podłożono je pod stos, a ten zaraz się zajął. Pieśń, którą brzmiały lasy, umilkła nagle. Najstarszy guślarz chwycił z za pasa lnianego, białego, o długich fałdach odzienia, nóż wielki, podniósł oczy i ręce do nieba, wiatr wionął nań, rozdławiając mu i unosząc na boki białą brodę ogromną, on wołał w niebo:

— Jesse! wielki Jesse! Sprawco grzmotów! Władco ludu! oto lud wyparty z gniazda swego, z nad Ślenzy, ofiaruje tobie za całość swoją ofiarę! Pomóż ludowi znaleźć żywo i zdrowo nowe siedlisko, a zabierz życie ofiary!

Wymówiwszy ostatni wyraz, guślarz odjął oczy od nieba i wepchnął po rękojeść nóż w serce wołu związanego tymczasem. Pieśń guślarzy i ludu całego wybuchnęła w téjże chwili wraz z krótkim rykiem wołu w nowy jęk: i już wół skrępowany leżał na gorejącym stosie; jękliwa pieśń brzmiała wciąż, guślarz nie spuszczał oka z ofiary. Gdy spłonęła i ognisko przygasło, on jeszcze raz na szczycie wzgórza podniósł głowę i ręce z krwawym nożem ku niebu, a potem zwrócił się do ludu. Pieśń umilkła, jak czarami; guślarz donośnym, powolnym głosem obwieścił drżącym w oczekiwaniu słuchaczom:

— Nowe pastwiska, nowe źródła czekają na cię, o ludu! Jesse przyjął ofiarę! poza Odrą, u źródeł wielkiej rzeki gniazdo twoje!

Gęśle wraz z radosnym okrzykiem ludu zabrzmiały znowu i stary guślarz zszedł z pagórka, ale u stóp jego zasiadł w kole dwunastu najstarszych starców. Dziękczynna pieśń umilkła; starcy radzili, aż jeden z nich wstał i rzekł do otaczającej młodzieży i ludu:

— Jako wiecie, dziś przypada czas dorocznej gonitwy o królestwo; przeto gotuj się, o młodzi! bo jeźli kiedy, to teraz, wśród niebezpieczeństw pochodu na nowe gniazdo, potrzeba ci dzielnego króla, pod którego wodzą masz bronić słabych niewiast i dzieci.

Po tych słowach starca, młodzież rzuciła się do swych koni, a dwunastu starców, rozdzielivszy się, poszli po sześciu w dwie przeciwne strony długiej łąki, na której zastanowił się lud wędrujący. Lud ten skupił się w wązką smugę z końca w koniec dużej łąki wśród lasów, pozostawiając wolną, niezbyt szeroką drogę wzdłuż całej łąki. Gdy sześciu starców doszło do każdego z dwóch przeciwnych krańców téj zielonej długiej drogi, której jeden bok stanowił las, a drugi lud, zasiedli rzędem na owych krańcach pod dębami, a każdy wbił w ziemię przed sobą pikę swoją. Stało więc naprzeciw siebie na dwóch końcach długiej drożyny po sześć pik. I wyjechało z tłumu dwunastu młodzieńców na dzielnych koniach, sami za najdzielniejszych w narodzie uznani i pojechali wszyscy w jedną stronę, a u kresu łąki sta-

nawszy przed sześciu pikami, skłonili się najprzód starcom tam siedzącym i ustawili się przed ich pikami po dwóch przy każdej, aby nikt krzywdy nie miał; wtedy inny starzec, stanawszy z boku, po trzykroć zwolna uderzył toporkiem swoim w dno pustej beczki, a za trzecim uderzeniem huknął wraz cały naród, jak jeden człowiek:

— Hu! ha!... i dwunastu młodzieńców, zaciąwszy spłoszone konie, poleciało z wiatrem wzdłuż zielonej hiwy na przegony. Lud nagle zamilkł i wyciągnawszy szyję patrzył z bijącym sercem, który z dwunastu jego najdzielniejszych będzie na ten rok jego obrońcą?... Aż nagle od przeciwnego krańca łąki huknął okrzyk na całą łąkę:

— Wisław! Wisław! najdzielniejszy z dzielnych! król młodzieży niech żyje!... bo właśnie jeden z dwunastu, dopadłszy pierwszy do przeciwległych pik, aż stratował jedną z rozpędu.

— Hej matko, Wisław! ciesz się! syn twój Wisław został królem młodzieży na ten rok! tak obwieścili starcy wypadek gonitwy matce zwyciężkiego młodzieńca, którego przed nią przywiedli.

— Niechże króluje zacnie!—odpowiedziała Wisła, niewiasta silna a poważna; bo taki był obrzęd, aby najbliższy krwią dał przed innymi dobre słowo nowemu królowi; potem dawali mu dobre słowo starcy i młodzież, i lud cały głośno cieszył się z tego wyboru, bo młody Wisław wszystkim był miły. A tymczasem młodzież schwyciła tego z dwunastu jeźdźców, który ostatni przypadł do mety i wsadziwszy go w wózek o dwóch kołach, ciągnąc go i popychając a wywracając w każdą spotkaną kałużę, jeździła z nim tak pomiędzy ludem po łące, wołając:

— Rochwist jedzie! Rochwist! który ostatni dowlókl się do mety! A gdy to się działo, składali wszyscy podarunki królowi z jada i napojów, z czego król zaraz też uczęł ludowi wyprawę. Poczém, spoczawszy a pokrzepivszy się wiarą w skuteczność krwawej ofiary i nadzieją niezawodnego męstwa nowego króla, puszczono się dopiero w dalszą drogę, na wyszukanie nowej siedziby. Takie obieranie króla młodzieży, jakie do dzisiaj ma miejsce między parobkami po-

wioskach Szlązkich, nie znaczyło przecież wcale, aby obierano króla ludowi, gdyż lud słowiański żył w gminowładztwie, to jest rządził się sam, przez rady starców, a taki król przewodził tylko młodzieńcom, co przecież było także bardzo ważną rzeczą, bo młodzież stanowiła główną ludu obronę. Rozpoczęto więc znowu pochód na południo-wschód, po za Odrę, gdzie wedle opowiadań starców, miały być bujne pastwiska na wzgórzach, po nad czystą rzeką o zdrowej wodzie, gdzie siedział pobratymczy lud. Wyglądając tych pastwisk i tej rzeki, posuwano się dzień za dniem, spoczywano w nocy pod strażą zmieniającej się młodzieży i pośpieszano nawet, bo leśna ta okolica, zajęta przez myśliwskie pobratymcze pokolenia, wcale się przecież nie nadawała dla gromadki wędrujących Szlązaków od Ślenzy, którzy byli przeważnie pasterzami i rolnikami po trochu. Inni Szlązacy myśliwcy, a więc już bardziej wojowniczy i lepiej uzbrojeni, natychmiast zajmowali okolice opuszczone przez tamtych, ponieważ las dawał im dostateczne środki wyżywienia i ponieważ w nim właśnie łatwiej się było opierać Ermanrykowi, a nawet napadać na niego z głębi niedostępnych borów. Ale bezbronne prawie pokolenie pasterzy posuwało się dalej na południo-wschód, wyglądając zapowiedzianych pastwisk na wzgórzach, nad rzeką, na próżno. Las i las, coraz gęstszy, przez który nie mogąc się przedostać gromadą, trzeba było nieraz okrążyć daleko, zdawał się nie mieć końca. Pastwiska w nim rzadko gdzie zdadne były dla owiec zgłodzonych i padających już po drodze, a stanowiących główne ludu bogactwo. Nakoniec liczne strumienie, przerywające ów las, zanieczyszczone zgnilizną, szkodliwe były do picia i ludziom i zwierzętom, które z trudem i gwałtem trzeba było wstrzymać od picia, bo po niēm padały jęcząc boleśnie. Choroby, nędza i znękanie ośwładnęły wędrownym ludem, gdy naraz pod wieczór pewnego dnia, w okolicy mniej lesistej i z lepszą wodą niż dotąd spotykana, spostrzeżono w oddali na ciemniejszym niebie ogromną łunę ogniska, płonącego na szczycie dużej góry. Zatrzymano się i starcy zeszli się coprędzej na radę. Uradzo-

no, że widocznie dochodzi się już do owęj zapowiedzianej żyznej ziemi wśród wzgórz, nad rzeką czystą i zdrową, i że trzeba wysłać kilku mądrych ludzi dla porozumienia się z mieszkańcami, którzy tu pewno na tej wielkiej górze ofiarę Jessie sprawują, ale których wedle opowiadań ojców ma tu być jeszcze nie wielu, tak, że łatwo się będzie można wśród nich pomieścić. Gdy ojcowie tak radzili, kołem zasiadłszy, tymczasem młodzież dorosła stała wkrąg za nimi, przysłuchując się w pełnym niby uszanowania milczeniu, jak zazwyczaj dotąd bywało. A jednak milczenie owo już po kilka razy przerywał głuchy, tłumiony szmer, czego dotąd młodzież nie dopuszczała się nigdy. Wprawdzie szmer ten nieprzystojny milkł natychmiast, gdy zdumione oczy starców zwróciły się na młódz tak dziwnie na ten raz niesforną, ale po chwili wszczynał się znowu. Tedy starcy spojrzeli po sobie i najstarszy z nich rzekł, spoglądając po szemrzącej młodzieży:

— W kłopotach a troskach, zapomnieliśmy dawno już sprawić ofiary *Eadzie*, to też *ład* stary psować się między nami zaczyna, jakby *Pochwiśt* gwałtowny przelatował między nami, rozrzucając i burząc *ład* dawny; coby to ojce nasi powiedzieli, gdyby za ich czasów młódz śmiała rozmowy starych czczym szmerem swoich gadanin przerywać?..

Młódz, zawstydzona tém napomnieniem, zdawała się niby cofać i skupiać, gdy nagle z pośród niej wystąpił młody jęj król doroczny, Wisław; zdjął z głowy rodzaj czapki, zrobionej wprost ze skóry zdartej z głowy jakiegoś zwierza leśnego i zaraz wsadzonej na własną, aby schnąc zachowała wielkość i kształt odpowiedni; zdjął więc Wisław tę czapkę i schylił się głęboko przed starcami, dotykając nią kolan najstarszego, jak to jest dziś jeszcze gdziegdzie we zwyczaju u ludu wiejskiego; i wyprostowawszy się znowu, stał tak Wisław z tą czapką w ręce przed kołem starców.

— A co to? ty chcesz mówić w radzie starców?!—zapytał w najwyższym zdumieniu na takie zuchwalstwo ów najstarszy. A Wisław głową tylko skinął. Starcy spojrzeli po sobie, oniemiawszy prawie ze zgrozy w pierw-

szej chwili, ale najstarszy po namyśle rzekł:

— Mów!... aby marność ta, jaką wyrzeczysz, młokosie, była ci na wstyd, a twoim rówieśnikom na naukę, iż młodość od tego jest, aby słuchała milcząc.

— A więc niechajże i za mnie przemówi starość!—zawołał żwawo Wisław i wyciągnąwszy rękę, wywiódł nią z tłumu i stawił przed starcami starca nieznanego, należącego widocznie do mieszkańców ziemi, na której stał, jak to jawnym było z jego postaci i mowy.

— Powiedz, ojcze, ojcom tym moim, jak zowiecie tę górę, na której sprawujecie ofiarę? i czy jest tu w pobliżu czysta wielka rzeka wśród gór? i czy są tu pastwiska dobre dla owiec? i czy znajdzie się tu miejsce dla bratniego ludu między wami? Powiedz im to, ojcze, tak, jak mnie powiedziałeś!—rzekł Wisław do starca obcego, a ten tak odpowiedział:

— Góra, którą widzicie, jest góra Sobótka, na niej my sobótkowe nasze wesole ognie, sławne na całą Szlązką ziemię palimy; czystej dużej rzeki w pobliżu tu niema; pastwisk dobrych dla owiec też tu niema; a choć bratniemu ludowi nikt tu miejsca nie pożałuje, to przecież z waszym dobytkiem wy się tu wygodnie nie pomieścicie, chyba w lasach, ale tam znów dobytekby wam zmarniał.

Głuche milczenie zapanowało po tych wyrazach obcego; starcy spuścili głowy; bo każdy, od samej Slenzy, wiedział o Sobótkowej górze, sławnej z ognia na niej w pewne doroczne noce palonych, na cześć bóstw, ku uciechu ludu, przy tańcu, muzyce i uciesze. Oczywiście wtedy było, że zabłąkano się w lasach, kiedy zamiast zejść do wielkiej rzeki, wśród gór o dobrych pastwiskach, zaprowadzono lud do Sobótkowej góry. Starcy popuszczali głowy, boć to oni z najstarszym gęślarzem na czele lud prowadzili. Za to młodzież głowy podniosła dumnie i odprowadzała Wisława w tryumfie i przy głośnych okrzykach z radnego koła, gdyż on od dawna już utrzymywał, że się w niewłaściwym idzie kierunku. Nazajutrz o wschodzie słońca, przy dźwiękach gęśli i śpiewach, sprawiano ofiarę *Ładzie*, ale to nie pomogło: nie-

ład i niepokój coraz większy zakradał się wśród ludu, bo jedni chcieli, żeby po dawnemu starzy przewodniczyli w dalszym pochodzie, a drudzy ani ruszyć się z miejsca nie chcieli inaczej, jak tylko pod przywództwem Wisława, który pierwszy oddawna spostrzegł, że w błędnym się idzie kierunku. I w końcu, ponieważ większość była za Wisławem, więc i mniejsza ale poważniejsza część ludu dobrowolnie się na żądanie tamtych zgodziła, aby niezgody i opóźnienia uniknąć. Wtedy Wisław wstąpił na szczyt Sobótkowej góry, przypatrzył się ztamtąd światu, rozmiarkował sobie dobrze, jak płynie Odra i w którą stronę, gdzie słońce wschodzi, a gdzie w nocy ukazuje się na niebie Wóz—i dobrze sobie to wszystko w rozumie rozebrawszy, zszedł z góry i poprowadził lud prosto, jak strzelił, w stronę, w której wedle jego obrachunku miała być owa rzeka czysta, a wypływająca z gór pośród doskonałych pastwisk. Jak tylko starcy spostrzegli i zrozumieli tę zasadę nowego wodza, prostego jak strzelił dążenia do celu, zaraz poczęli kiwać głowami i ostrzegać, że tak iść nie można, bo dla ludu i zwierząt trzeba koniecznie drogę wybierać i krążyć nieraz, aby było w drodze pożywienie i woda, o którą nie zawsze łatwo. Ale młodzi odpowiedzieli, że krążąc najłatwiej jest się zabłąkać i starcy umilkli. Jednakże bardzo prędko pokazało się, że mieli słusność, bo wyszedłszy z ludnej okolicy, zapędzono się wkrótce w takie lasy i trzęsawiska, i jary i wzgórze, że po długim rozpaczonym przedzieraniu się przez nie, cały lud stanął bezsilnie, opuszczając ręce w przekonaniu, że zginąć mu przyjdzie. Wisław szedł jeszcze jakiś czas naprzód, zmuszając prawie lud do wydobywania sił ostatnich, a obiecując mu pastwiska i czystą wodę za każdym wzgórzem, za każdą nową trudną do przebycia ścianą lasu; a tymczasem trzody padały z braku właściwej paszy i z trudów, lub ginęły uciekając w las, wśród ogólnego nieładu. Lud z trudnością tylko chwytając leśną zwierzynę na pokarm, i nie mając go dostatkem, dorzynał padające chore sztuki swój trzody i żywił się niemi z głodu, z czego ciężkie powstały choroby i wielka śmiertelność, bo mięso z chorego bydłę-

cia jest niezdrowe. Brak czystej źródlanej wody w miejscu, w które się zapędzono, dodał jeszcze jedną i największą nędzę do wszystkich poprzednich nędz i wtedy to lud chory, głodny, przierzędzony i pozbawiony już prawie zupełnie swych bogatych stad owiec, odstąpił wszystek od naglącego wciąż do pochodu Wisława, wołając:

— Ładol Ładol! Karzesz nas za to, żeśmy ci zapomnieli złożyć ofiary i żeśmy odstąpili od ładu starego, oddając wodze w ręce marnej, słabiej młodości! O starcy! ojcowie! weźcie wy napowrót lud w opiekę, a ten który nas zgubił niech idzie precz z oczu naszych!

Tak wołał lud, odwracając się od Wisława, a ci, którzy najciężej ucierpieli i którym rodziny wymarły pod jego złą wodzą, wołali nawet, że trzeba go końmi rozedrzeć. Więc Wisław, od wszystkich opuszczony, spuścił głowę i stał wśród zlorzeczających mu, jak winowajca, sam jeden, tylko za nim stała płacząca matka jego Wisła, a przed nim zasiadło *koło* starców na radę i na sąd, bo lud przedewszystkiem sądu się na Wisława domagał, znenawidzonego w rozpacz. A lud to był, jak widzimy, bałwochwalczy i dziki, jak i wszystkie okoliczne ludy w owych czasach i były tam ciężkie kary na wielkich winowajców, a nawet, co wszakże nie jest dowiedzione, podobno w wielkich nieszczęściach składano bogom ofiary z ludzi. Można więc sobie wyobrazić, co działo się w duszy Wisły, matki, stojącej za Wisławem, stawionym przed sądem, bo to pewna, że jakiegokolwiekby były obyczaje ludu niezłagodzonego jeszcze wpływem religii, to przecież matki są w nim zawsze matkami, a miłość ich dla dzieci, zawsze równie wielką. Wisła stała za synem i obiecywała i przyrzekała wszystkim bogom z kolei różne ofiary za ocalenie Wisława, aż nagle, widząc rosnące wzburzenie ludu, zrozpaczona, zerwała się z ziemi, na którą padła przed chwilą i jak zranione zwierzę, ostatkiem sił pędziła na najbliższą górę skalistą, bo miano zwyczaj modlić się i składać ofiary zawsze na wyżynach. Wdarłszy się więc na szczyt owej góry niewielkiej, zrozpaczona matka krzyknęła, podnosząc ręce do nieba:

— Błagałam Białego, błagałam Czarnego

i Jessę i Niję i Ładę, a nie wysłuchali mnie i sądzi tam lud syna mego! O ty! Boże obcy! ty! o którym niemiecki niewolnik powiadał, żeś jest jedynym u nich, i Bogiem nad bogi, Ciebie teraz błagam, weź na ofiarę moje życie, a zachowaj życie i zdrowie syna mego!

I rzuciwszy niebu te wyrazy ze wszystkich sił zrozpaczonej piersi, Wisła z wyciągnionemi w niebo rękoma pochylila się naprzód, aby rzucić się ze skał, ofiarując życie za życie, gdy wtém spojrzawszy w dół, stanęła osłupiała, bo w dole po drugiej stronie skały, na której stała, niedaleko, w żyznej dolinie wypływała bystra, czysta jak łąza woda, siedmiu strumieniami z niewielkiej zielonej góry, na której mnóstwo baranków i owiec i bydła, poginionych od dni wielu zbłąkanemu ludowi w zaklętym owym lesie, pasło się najspokojniej albo skakało i piło ze źródła wesolo.

Wisła stała przez chwilę, nie mogąc myśli zebrać, aż nagle, poskoczywszy co siły tą samą drogą, którą przyszła, wpadła, z góry biegnąc, w środek ludu i w koło radne, wołając:

— Niewinny! niewinny syn mój! Wisław, król młodzieży! dobrze prowadził i doprowadził! tu za tą jedną skalą, za tą ścianą leśną jedyną, jest żyzne pastwisko i rzeka czy sta o siedmiu źródłach, do której dążymy! chodźcie, patrzcie! Bóg nad bogi pokazał mi ją!

Jeszcze Wisła nie domówiła tych wyrazów, a już lud wszystek, i starcy i chorzy i Wisław sam biegli za nią napowrót na górę, na której ją przed chwilą widziano, a dobiegłszy i spojrzawszy na dół, zaczęto natychmiast zsuwać się i zbiegać na drugą stronę do żyznej, zdrowej doliny, gdzie już zwierzęta sobie drogę znalazły za przykładem dzikich leśnych zwierząt, które wszędzie w najgęstszych lasach przebijają sobie i torują ścieżki do wody, i chodzą niemi stadami. A schodząc tak w dolinę, krzyczano radośnie:

— Niech żyje najdzielniejszy z dzielnych! Wisław, król młodzieży! – i podnoszono Wisława na ramionach w szale radości. Bo lud ten już taki był, że w nieszczęściu rozpaczał

bez miary i ręce opuszczał, a w szczęściu znów szalał z radości.

To też biegnąc tak w szale radosnym do tego kraju, który w istocie był żyznym i

popatrzyła na niesionego w tryumfie wśród okrzyków Wisława, i podniósłszy ręce i oczy do nieba, rzuciła się w jar najgłębszy, spełniając przyrzeczoną ofiarę.



Pies goniący za cieniem.

zdrowym, nikt ani widział, jak bezsilna już Wisła, wdrapawszy się ostatnia na szczyt owęj skały, na której obiecała ofiarę obcemu bogu pogańskim swym obyczajem, stanęła,

W kilka dni dopiero znaleziono zwłoki Wisły i domysłono się wszystkiego, bo widziano poprzednio po jej ruchach, że ofiarę jakąś bogom, na skale stojąc, obiecywała.

Nie piszą wprawdzie tego kronikarze, ale ktoś wie, czy nie od imienia téj matki Wisły, która ofiarą życia, a raczej wielką miłością macierzyńską ocaliła syna i lud zrozpaczoney od śmierci, czy nie od jój imienia właśnie nazwano nowo znalezionej rzekę o siedmiu źródłach, *Wisłą*...

Wzgórze, z którego te siedm źródeł wypływa, na którym jest pasza przepyszna i gdzie odnaleziono zaginione w lesie barany, nazwano górą Baranią.

PIES GONIĄCY ZA CIENIEM.

B A J K A.

Nie jeden, goniąc za marą,
Prawdziwą korzyść postrada;
Trafną bajeczkę, choć starą,
Ezop o tém opowiada.

Pies od rzeźniczej posługi
Niósł przez wodę mięsa kawał,
A z mięsem takż pies drugi
Na dnie rzeki iść się zdawał.

Żarłoka tamto skorciło,
Co mu w wodzie majaczyło,
Chcąc je porwać, puszcza własne—
Następstwo zład bardzo jasne.

MOJA PIESZCZOTKA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

Teresę-Jadwigę.

I.

Wyobraźcie sobie równinę rozległą, równinę tak długą, tak niezmiernie długą, iż

gdy oko chce jój kraniec zobaczyć, to się gubi i krańca dopatrzeć nie może; tak wielką, tak olbrzymią, iż zda się gdzieś daleko, daleko, zlewać z obłokami... Wyobraźcie sobie równinę tak bogatą, tak rozmaistą, iż gdziekolwiek wzrok spocznie, tam coś nowego zobaczy: tu białe i różowe łany gryki, tam błękitne pasma lnu, dalej złote kłosa pszenicy, za niemi srebrne żyta, naprzeciw płaty zielonych łąk, na nich pasące się bydło i pastuszków przygrywających na fujarkach, za łąkami, het daleko, srebrną strugę wody, wężykowato się wijącą... Wyobraźcie sobie taką równinę, zamkniętą z dwóch stron od północy i południa długimi łańcuchami czarnych borów, a będziecie mieli równinę, na jaką patrzali codzień mieszkańcy dworu Kamionki.

Dwór ten, a raczej zamek, bo prędzej ta nazwaby mu przystała, wznosił się na wysokim wzgórzu, otoczonym fosą, miał dwie baszty: jedną od wschodu, drugą od zachodu, dwa mosty zwodzone przez fosę naprzeciw owych baszt przeprowadzone, wysoki mur, dziedziniec w okół otaczający i dwie w nim bramy, które wychodziły wprost na mosty.

Za dawnych czasów, kiedy to jeszcze panował u nas król Kazimierz Wielki, nikt owego dworu nie nazywał inaczej, jak zamkiem, ale obecny jego posiadacz, niejaki kasztelan Zawistowski, który najmniejszej pretensyi do mitry książęcej nie rościł, zabronił dawać mu téj nazwy. Za dawnych czasów było też tu inaczej: zamek, choć drewniany, miał postać groźną, wojowniczą i bali go się sąsiedzi, bali kupcy przejezdni, bo nie rzadko z tego zamku zbrojne oddziały na przejezdnych napadały, a dostać się do niego, pomścić krzywdy wyrządzone, trudno było, bo był dobrze broniony: na wałach stały wciąż moździerze nabite, fosa pełna była wody, a mosty zwodzone zawsze bywały zamknięte. Dzisiaj, to jest w czasach naszego opowiadania, już tylko powieści krążyły o tém wszystkim, snąc czasy się zmieniły, ustały rabunki, napaści, więc sprzątnięto z wałów moździerze, a gdzie one dawniej stały, teraz kwitły krzewy róż dzikich; fosa wyschła, zarosły ją pokrzywy, oraz inne ziel-

ska, pomiędzy któremi skakały zielone żabki i przeslizgiwały się jaszczurki. Dwa mosty, do dwóch bram prowadzące, zawsze były spuszczone, a zbrojne szeregi wtedy chyba po nich przechodziły, gdy król wezwał na jaką wyprawę; za to często zajeżdżały kolasy gości wiozące, bo kasztelan Zawistowski ochotnie podejmował sąsiadów u siebie i serdecznie ich zawsze zapraszał... Dziś liczniejszych niż zwykle spodziewano się gości; kasztelan ich sprosił z najdalszych okolic, chcąc uczcić dzień urodzin córki jedynej, swój pieścotki, jak ją nazywał. Irenka, takie miała imię owa jedynaczka, była ósmem z kolei dzieckiem kasztelana, ósmem, mimo to jedynem; siedmioro przed nią pomarło, a ona w lat cztery dopiero na świat przyszła. Potem, gdy ostatnie nieszczęsna matka do trumienki położyła. To też rozpadali się nad nią rodzice, pieścili, chuchali, o niej tylko myśleli; we dwoje czuwali nad jej kołyską, we dwoje uczyli ją pierwsze kroki stawiać, pierwsze wyrazy wymawiać. Irenka była ich szczęściem, ich chlubą, ich skarbem największym. Przybycie jej na świat głośno obchodzono w Kamionce: gdy dano znać kasztelanowi, że żona go wzywa, by córkę uściskał, wychylił cały kielich węgryna za jej zdrowie, stary olbrzymi kielich pradziadowski, a potem kazał sto razy wystrzelić z mōdzierza.

— Będzie to kiedyś bohater z naszego przybysza, przysporzy domowi chluby — rzekł puszkarz, któremu polecono tę powinność spełnić, a gdy mu powiedziano, że się pomylił, bo przybyszem nie jest chłopiec, ale dziewczyna, ruszył stary gniewnie ramionami i rzekł. — Abo to niewiasta bohaterem być nie może. Wam młodym to wszystko nowina, ale nie mnie staremu; słyzałem ja o niejednej co walczyła, widziałem niejedną na koniu z bronią w ręku. — Dzisiaj była to rocznica owego dnia pamiętnego w domu kasztelana, Irenka zaczęła rok szesnasty i kasztelan sprosił licznych gości, aby, jak żonie powiedział, „moję pieścotkę ucieszyć.“ Od świtu gwarno było we dworze: pani kasztelanowa wraz ze służbą męzką i żeńską krzątała się koło obiadu i wieszery, pan kasztelan, obiegłszy gospodarstwo, wystroił się

w paradny swój kontusz granatowy, w żupan złotego koloru i siadłszy w pierwszej izbie, oczekiwał łaskawych. A już jeden z sąsiadów, wojewoda Pożarski, wyprzedziwszy innych, siedział z nim razem; popijali miodek i gawędzili, o czém? o tém co dziś najwięcej kasztelana zajmowało, o jego pieścotce.

— Bo to, powiadam ci, sąsiedzie — mówił pan Zawistowski — takię dziewczyny, jak moja, niewidziałeś pewno jeszcze... Istny brylancik, jak ci ją pokażę, to mi pozazdrościsz... Co to za buzia, jak różyczka, a włosy jakie: czarne, lśniące, warkocze jej ziemi sięgają; a oczy, bławaty żywe, gdy długą czarną rzęsą je przysłoni, to napatrzeć się jej nie można; usteczka, jak malina, ząbki, jak perełki, słiczna, słiczna dziewczyna, a jaka dobra, jaka pracowita, nie ma drugiej takię; gdy ci ją pokażę, to mi pozazdrościsz.

Uśmiechnął się wojewoda i poglądził węża.

— Wolę ja chłopca — rzekł zwolna — mam jednego i Bogu za niego dziękuję; dziewczyny nie pragnę.

— Et, co mi tam chłopiec — przerwał mu kasztelan — zaledwie od ziemi odrośnie, już do szkoły trzeba go oddać, potem w świat pójdzie i w domu pusto, człek sierotą na stare lata. Dziewczyna nie ucieknie, ona zawsze z tobą zostanie, umili, uweseli ci starość. Ot weź np. naszą Irenkę, cały dzień z nami; to krząta się z matką w spizarni, to do mnie na pole z chłodnikiem przybieży. Matka siędzie przuć, ona drugi kołowrotek przysunie sobie i nuci jej nad uchem piosnki wesole; ja konia dosiędę, ona zjawia się nagle na białym i ściga się ze mną i śmieje się, skacze przez rowy i płoty. Pieścotka moja, wszędzie jej pełno. Gdy słońce na dworze, lub wieczór zapadnie, a ja z jejmością siadziem do gry w kostki, ona znowu przy nas: to chichoce, to skacze, to pieści, to szczebioce... Ona duszą domu naszego, jasnym promykiem naszej starości; póki jej nie było, nie było kwiatka jednego w ogródku, a teraz wyrzyj sąsiedzie, całe grządki ostrożek, malw, maków barwistych, aż dusza się śmieje, gdy wychylisz głowę za okno; pracowite to jak pszczołka.

To mówiąc kasztelan poniósł do ust szkla-

neczkę miodu, na stole stojącą i wychylił ją do dna.

Wojewoda uśmiechnął się znowu, zakreślił węża:

— Skacze to i śmieje się, dopóki obcy nie przyjdzie i nie powie chodź ze mną—rzekł wstrząsnawszy głową—potem rzuci dom, rzuci ojca, matkę, a wy na starość sami zostanieie.

— Et, co mi tam!—krzyknął kasztelan—przyjdzie obcy, to przyjdzie i z nami zamieszka, a córki z domu nie puszcze, albo to u nas miejsca mało?

— Zawsze ja wolę chłopca niż dziewczynę—odparł wojewoda.

— Boście mojej nie widzieli, ale niechno przyjdzie, niech się uśmiechnie, a inaczej śpiewać będziecie; zaraz wam pokażę mój skarb jedyny.

To powiedziawszy, klasnął w dłonie; na ten znak wbiegł do izby chłopiec, lat dwanaście liczyć mogący, w czamarze, w butach wysokich, z głową krótko ostrzyżoną i zatrzymał się w pośrodku pokoju.

— Skocz do pani, powiedz, żeby panna Irena tu przyszła—rzekł kasztelan.

Chłopak wybiegł, a przyjaciele dalej gawędę prowadzili; wtém w sąsiedniej izbie coś zaszeleściło, drzwi się rozwarły i z piosnką, z uśmiechem na ustach, wbiegła Irenka do pokoju, smukła, śliczna, jak obrazek; wbiegła swobodnie, śmiało, lecz nagle zatrzymała się, zarumieniła i oczy w ziemię spuściwszy, sama nie wiedziała co z sobą zrobić. Była pewna, iż jeszcze nikogo niema u ojca, więc wpadła skacząc, śpiewając; ujrawszy obcego, zawstydziła się swego trzpiotowstwa. A pięknie jój było z tym rumieńcem na ogorzałej od słońca twarzyćce, z tém zakłopotaniem w spuszczonych do ziemi oczach; pięknie jój było w tym stroju, który przybrała do gości. W czarnych jój war-koczach migały czerwone maki i habry, jak jój oczy szafirowe, na piersiach świeciły paciorki żółte i czerwone, miała na sobie błękitny kontusik i takąż spódniczkę, trzewiczki na korkach. Pięknie jej było w tym stroju, wojewoda przyznał w duszy, iż jest czego pozazdrościć kasztelanowi i pogładził

węsa, uśmiechnął się do dziewczęcia i powstał, by ukłon złożyć.

— Et, co mi tam—odezwał się kasztelan—podnieś śmiało czoło pieszcotko, wojewoda się nie gniewa, choć wpadłaś tutaj, jak zawierucha. Wybaczcie jój, sąsiedzie—dodał zwracając się do gościa, myślała, iż sam jestem.

Irenka postąpiła nieśmiało ku ojcu, on wziął ją za rękę:

— Oto moja córka, panie wojewodo—rzekł podnosząc dumnie czoło.

Dziewczę zapłonnione dygnęło, wojewoda podał jój dłoń.

— Jeśli taka dobra, jak ładna, to macie się czém chlubić—rzekł, kłaniając się powtórnie.

Kasztelan pogłaskał piękną główkę dziewczęcia.

— Teraz idź do matki, chciałem tylko, żeby cię poznał wojewoda.

Irenka znowu dygnęła i szczęśliwa jak ptaszę, gdy je z klatki wypuszczą, wybiegła śpiesznie, szeleszcząc spódniczką.

— Więc mi zazdrościsz, wojewodo?—ozwał się uparty kasztelan, gdy drzwi za jego pieszcotką się zamknęły.

— Bynajmniej—odparł wojewoda—pochwalić mogę, ale zazdrościć nie będę, bo mam chłopca, a chłopiec wart więcej; gdy wojna przyjdzie, najlepsza, najpiękniejsza dziewczyna syna nie zastąpi.

Kasztelan machnął niecierpliwie ręką.

— Et, co mi tam wojna—rzekł—teraz pokój, co o wojnie myśleć. (d. c. n.)

PRZYGODY

NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW

W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(Dalszy ciąg).

— Wiatr się zrywa, panie Vergis—rzekł Noel—możemy mieć burzę w nocy. Trzeba

ściągnąć żagle i zwrócić statek na zachód, żeby się oddalić od brzegów.

— Rozumiem, kapitanie.

— Aha, cóż to chciałem jeszcze powiedzieć? Jakże tam pasażerowie?

— Już im się żegluga dobrze dała we znaki, jak to zwykle bywa. Sądzę, że ledwo za parę dni będą mieli siłę wyjść na pokład.

— Jakto, wszyscy czterej się rozchorowali? A toż dwaj starsi, komisarz i felczer, muszą być obeznani z morzem.

— Rozchorowali się jednak tak samo, jak i tamci.

— Wszak wiesz, panie Vergis, że Rontonak gwałtem mi ten ciężar narzucił. Nie pojmuję, zkąd w tym starym łbie taka szalona myśl się wziąć mogła.

Porucznik ani mrugnął; chciał on naprzód zmiarkować, czy kapitan czekał na odpowiedź, czy też mówił tylko głośno sam do siebie, a w takim razie ostrożność nakazywała milczeć.

— Miałem zamiar z początku—mówił dalej Noel—zabrać ich do Brazylii i dopiero po powrocie wyrzucić na brzeg afrykański w Moyamba lub Loango, zkąd mogliby się dostać z łatwością do Gabunu, ale się rozmyśliłem; najpierw trudno byłoby im wytłumaczyć powody téj zmiany drogi, a potem dłuższy pobyt na okręcie dałby im czas do wysledzenia prawdy. Zdecydowałem się więc jechać do Gabunu.

— A jeśli napotkamy wojenne okręty?—rzekł porucznik, który zrozumiał już teraz, że wolno mu się odezwać.

— To zawrócimy z drogi i ruszymy wprost do Brazylii.

— A cóż będzie z pasażerami?

— A cóż! spóźnią się trochę; wysadzimy ich na ląd dopiero po załatwieniu swoich interesów. Licho ich nie weźmie.

— A nie obawiasz się pan?

— Czego?

— Żeby nie ściągnęli na nas wielkich nieprzyjemności.

— Już jeżeli my dla nich swoją skórę narażamy, to nie mamy przecież potrzeby żadnych ceremonij z nimi robić. Jak tylko nam

zechcą w czémkolwiek bruździć, każe ich natychmiast okuć w kajdany.

— Ja także sądzą, że najlepiej będzie wysadzić ich niezwłocznie w miejscu przeznaczenia. Możemy płynąć bocznymi drogami, dla uniknienia niebezpiecznego spotkania.

— Taki mam właśnie zamiar. Wyrzucisz ich na ląd, puścimy się szybko do Brazylii i odzyskamy czas stracony.

— To rzeczywiście najlepszy sposób wyjścia z kłopotu.

— Pilnujcież się wszyscy, ażeby się nam udało. Jest to z naszej strony troszkę zuchwale, ale niema co, w najgorszym razie pokażemy raz jeszcze napastnikom, że Osa dobrze lata i ukłuć umie w potrzebie. Czy pamiętasz, panie Vergis, ten statek angielski, któryśny zatopili dwa lata temu w pobliżu wyspy S-tój Heleny?

— Ba! czy pamiętam. Ani jedna deska nie wypłynęła, ani jeden człowiek nie ocalał, by mógł wykryć prawdziwą przyczynę téj klęski. Wszystkie dzienniki rozgłosiły po całym świecie, że straszliwy cyklon pochłonął ten statek z ludźmi i ładunkiem.

— Trzeba wydać najsroższy rozkaz, ażeby nikt z osady okrętowej nie ważył się zawiązywać stosunków z pasażerami. Nikt tu nie powinien rozumieć jednego słowa po francuzku. Gdyby który z majtków przemówił do nich, w jakim bądź języku, natychmiast go okuć w kajdany i objawić, że traci swoją część zysków.

— Majtkowie już są uprzedzeni.

— I cóż mówią?

— Pojmują doskonale, czém grozi obecność tych ludzi na okręcie i prędkiejby mieli ochotę wrzucić ich w morze, aniżeli się z nimi zadawać.

— To dobrze. Ja zaś ze swojej strony, ponieważ będą obiadować ze mną, postaram się ich przekonać, że Osa jest najpocześniejszym w świecie kupieckim statkiem.

W téj chwili wszedł Dawis.

— Jestem na rozkazy pana kapitana—rzekł.

— Dobrze, moje dziecko; chciałem cię zaprosić na obiad i pana także, panie Vergis.

— Będę służył, kapitanie.

— Kapitan Noel był dziś widocznie w dobrym humorze.

V.

Pogoń. Walka na morzu.

Mijało już dwa tygodnie od wyjazdu Osy, która zbliżała się obecnie do ujścia Gabunu. Dotąd trzymała się ciągle zdaleka od zwykłych dróg morskich, unikając spotkania z innymi statkami. Czterej pasażerowie od dawna już przebyli morską chorobę i oswoiili się z milczącą osadą okrętu; kapitan im powiedział, jakby to było rzeczą najprostszą w świecie, że żaden z jego majtków nie umiał po francuzku i uwierzyli temu z łatwością; cóż dziwnego, wszakże i oni także tylko swoim rodowitym językiem mówili.

— I wierz tu ludziom—mówił Giliasse—powiadają, że to tylko my Francuzi nie uczymy się obcych języków; a otóż mamy tu gromadkę ludzi najrozmaitszej narodowości, Anglików, Niemców, Włochów, Greków, Amerykanów, a żaden się nie nauczył po francuzku.

— Nie mają nawet najmniejszej ochoty do tego—dodał Toncas—mogliby przecież i od nas trochę skorzystać; ale to już takie jakieś głowy zakute. Tyle razy naprzykład powtarzam temu małemu posługaczowi: Daj mi ognia. Powinienby w końcu spamiętać co to znaczy. Ale gdzie tam; zawsze popatrzy na mnie z głupkowatą miną i przynosi mi szklanekę wody.

Słuchając téj rozmowy dwóch przyjaciół, kapitan przygryzał sobie wargi, ażeby się nie rozśmiać. Podporucznik Barthet i Urban Guillois mało zwracali uwagi na to wszystko, obaj młodzieńcy dziwnie jakos do siebie przystali i prawie ciągle trzymali się razem na uboczu, gdyż rozmowa dwóch starszych towarzyszków podróży nie mogła im żadnej sprawiać przyjemności; zanadto się od nich różnili wychowaniem i usposobieniem.

Pewnego dnia kapitan zapowiedział swoim pasażerom, że nazajutrz prawdopodobnie zawiną do portu, dziś więc ostatni dzień spędzają na jego okręcie. Było to przy obiedzie, a stół oficerski na Osie odznaczał się

prawdziwie wykwintném urządzeniem, wina szczególnie nie żalowano wcale, to też komisarz z felczerem byli już pod dobrą datą i rozczuliła ich niezmiernie ta wiadomość.

— Kapitanie—przemówił felczer głosem wzruszonym—nigdy nie zapomnę téj gościnności prawdziwie królewskiej, która... z którą... te wyborne wina szczególnie...—i stanął na tém, bo mu konceptu zabrakło, chociaż czuł się w obowiązku wypowiedzenia jakiejś pożegnalnej oracyi.

— Niezawodnie—odezwał się z kolei Toncas—zachowamy najprzyjemniejsze wspomnienia wykwintnych potraw i napojów i.. i..—ale i jemu wymowa nie dopisała, więc rozczulony rzucił się na szyję kapitana i wręcz mu oświadczył, że nie potrafi się z nim rozstać, błagał go, aby mu dał stałe miejsce na swoim statku.

— I ja także pana nie opuszczę, drogi kapitanie—wołał Giliasse—na twoim okręcie braknie właśnie felczera, pozwól, że ja nim zostanę.

— Przyjmuję z wdzięcznością, moi panowie—odrzekł kapitan Noel z dziwnym uśmiechem—bardzo być może, że z propozycyi waszój skorzystam.

Barthet i Guillois dusili się od śmiechu, a zabawna ta scena byłaby się dłużej przeciągnęła, gdy nagle wbiegł majtek i po angielsku zawołał:

— Kapitanie! widać statek, na prawo, od tyłu!

Kapitan Noel zerwał się od stołu, wybiegł na pomost i skierował lunetę w stronę wskazaną. Przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca, na samym krańcu widnokregu rysowały się maszty wielkiej fregaty, których szczyty zaledwie wynurzały się z wody. Po chwili wszystko znikło, naksztalt widzenia, mrok szary roztoczył się na niebie, gdyż pod zwrotnikami z chwilą zachodu słońca ściemnia się nagle i noc czarnym swym płaszczem pokryła cały widnokrąg i tonie oceanu.

(d. c. n.)

K r y p t o g r a f. (K. Gr.)

Marka, kant i pijak. Z tychże samych liter, nie dodając ani ujmując żadnej, ułożyć inne wyrazy, które utworzą znane przysłowie.

Łamigłówka kryształowa. (H. H.)

- 1) Litera.
- 2) Bryły lodu.
- 3) Ludzie nie starzy.
- 4) Wielka pani.
- 5)
- 6) Imię kobiety.
- 7) Drzewo.
- 8) Rzeka.
- 9) Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę miasta handlowego w Niemczech.

Łamigłówka zgłoskowa. (Małgosia).

Z dziewiętnastu zgłosek: cel—ga—ga—
in—i—ka—la—le—lus—miot—na—o—o—
ry—stib—trys—wa—woł—zu—ułożyć dzie-
więć wyrazów: 1) Jeden z najstarożytniej-
szych ludzi. 2) Masa znajdująca się w ziemi.
3) Rasa psów. 4) Rodzaj mieszkania. 5) Gó-
ra w Grecyi. 6) Rzeka w Europie. 7) Miasto
w Turcyi. 8) Miasto w Niemczech. 9) Afry-
kanin. Pierwsze litery, od góry do dołu,
utworzą nazwisko dawno nieżyjącego poety
polskiego, ostatnie, w kierunku przeciwnym,
imię jego.

Rozwiązania do Numeru 15-go.

Starady: Ro—za—li—a.

Łamigłówki w kwadraciku.

O	K	N	O
K	A	I	R
N	I	W	A
O	R	A	Ć

Łamigłówki liczbowej:

B a l i ń s k i.

Bal
Łak
Las
Lis
Bas
Bis.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Natalci O. na Pradze. Rozwiązanie zagadki historycznej było już drukowane w Nrze 14 Wieczorów; nie mogliśmy dłużej zwlekać, otrzymaliśmy bowiem rozwiązania trafne w znacznej ilości i to z różnych, najdalszych nawet okolic naszego kraju. My także nie wąpimy wcale, że nasze *Wieczory* mogą jaknajzgodniej przebywać pod jednym dachem z *Przyjacielem Dzieci*, sądzimy nawet, że te dwa Pismka tak niedrogo powinnyby się z sobą spotykać we wszystkich domach, gdzie młodzież lubi czytanie.

Janince Strz. w Bulkowie. Odesłaliśmy natychmiast brakujący arkusz powiastki; mieliśmy jednak trochę kłopotu z wyszukaniem adresu, który nie był wyraźnie wypisany w liściku. Prosimy wszystkich kochanych naszych prenumeratorów, którzy od nas jakiej przesyłki żądają, aby dokładnie napisali, nie tylko nazwisko i miejsce zamieszkania, ale i nazwę stacyi pocztowej, gdzie Pismo odbierają.

Pani Maryi R. w Mińsku. Przekonała się pani, odbierając z poczty wszystkie Nra Pisma, niektóre zniszczone, że opóźnienie nie z naszej winy pochodziło. Upraszamy też wszystkich prenumeratorów, aby w razie nie odbierania Pisma udawali się do miejscowego zarządu poczty.

(Resztę odpowiedzi, dla braku miejsca, odkładamy do następnego Nru).

WYDAWNICTWO ZABAWEK I GIER PEDAGOGICZNYCH

w Warszawie

dla prenumeratorów „Wieczorów Rodzinnych” ustępuje 20% rabatu.

Podajemy tu ceny niższe:

Podróż Verne'a na około świata w 80 dniach. Gra towarzyska w ozdobnym pudełku z tytułem chromolitografowanym	rs. 1 k. 30.
Modele geometryczne brył kryształów w pudełku	„ 1 „ 10.
Malarstwo za pomocą natryskiwania, zabawa dla młodzieży. Pudełko z zielnikiem i przyborami do malowania	„ 1 „ 90.
Portrety cieniowe królów polskich, zabawa towarzyska z tekstem rytmicznym Wł. L. Anczyca (portrety według wizerunków Lessera) w ozdobnym pudełku z chromolitografowanym tytułem	„ 1 „ 90.
Książeczka rysunkowa dla małych dzieci z czarnymi tabliczkami do rysunku. Karton	„ — „ 50.
Układanie kwadratami, zabawa dla młodzieży w pudełku z kolorowanym tytułem	„ — „ 80.
Mały artysta, zabawka rysunkowa poślizgnięta działwie w ozdobnym pudełku z przyborami do rysowania i farbami	„ 1 „ 45.
Wydanie w ozdobnym pudełku bez przyborów do rysunku	„ 1 „ —.
Loteryjka z historii naturalnej, pouczająca zabawa dla dzieci i młodzieży, z objaśnieniem jej użycia, składająca się z 6-ciu chromolitografowanych tablic, zawierających 90 rycin ze świata zwierzęcego i roślinnego, wydanie 2-gie w ozdobnym pudełku	„ — „ 80.
Łamigłówna geometryczna, zabawa zajmująca dla dzieci i młodzieży z objaśnieniem i kluczem, składająca się z 12 tablic łamigłównki i tyłu tablic klucza	„ — „ 40.
Loteryjka geograficzna, gra towarzyska, wydanie mniejsze, na 2 do 6 osób, złożone z 6-ciu mapek, mieszczących całą kulę ziemską, a na niej 120 nazwisk różnych miejscowości	„ 1 „ 60.
Wydanie większe, na 2 do 10 osób, zawierające 10 mapek ze 180 nazwiskami geograficznymi	„ 2 „ —.
Gra w szachy, z płaskimi chromolitografowanymi figurami i objaśnieniem	„ — „ 50.
Łamigłównki geograficzne, według metody Fr. Frebla:	
1. a) <i>Łamigłówna planiglobu</i> format mały, nowe wydanie w ozdobnym pudełku	„ — „ 80.
1. b) „ „ „ „ duży	„ 1 „ 20.
2. a) „ <i>Europy</i> „ mały, nowe wydanie w ozdob. pudełku	„ — „ 80.
2. b) „ „ „ „ duży	„ 1 „ 20.
2. c) <i>Wielka łamigłówna Europy</i> w ozdob. pudełku	„ 2 „ 40.
3) a) <i>Łamigłówna A z y i</i> format mały, nowe wydanie	„ — „ 80.
3. b) „ „ „ „ duży	„ 1 „ 20.
4. a) „ <i>Afryki</i> „ mały, nowe wydanie	„ — „ 80.
4. b) „ „ „ „ duży	„ 1 „ 20.
5. a) „ <i>Ameryki</i> „ mały, nowe wydanie	„ — „ 80.
5. b) „ „ „ „ duży	„ 1 „ 20.
6. a) „ <i>Australii</i> „ mały, nowe wydanie	„ — „ 80.
6. b) „ „ „ „ duży	„ 1 „ 20.
7. a) „ <i>Cesarstwa Rosyjskiego</i> format mały	„ — „ 80.
7. b) „ „ „ „ format duży.	„ 1 „ 20.
7. c) „ <i>Austrii</i> format mały, nowe wydanie	„ — „ 80.
8. a) „ <i>Królestwa Polskiego</i> format duży rozcięty podług gubernij	„ 1 „ 20.
8. b) „ „ „ „ podług powiatów	„ 1 „ 60.
8. c) „ <i>Niemiec</i> format mały, nowe wydanie	„ — „ 80.

Za przesyłkę i opakowanie każdego przedmiotu wartującego 1 rs. i wyżej dopłaca się kop. 50, każdego przedmiotu wartującego mniej od 1 rs., kop. 30. Za kilka przedmiotów razem rs. 1.